

Nie ścigajmy się z Etiopią

Prof. Ha-Joon Chang, ekonomista, jeden z najbardziej wpływowych myślicieli świata, o mitach wolnego handlu, niespełnionych obietnicach i związkach kultury z gospodarką

Jacek Żakowski: – Czy ekonomiści rozwalili świat?

Prof. Ha-Joon Chang: – Od końca XIX w. już nie raz. Najpierw ekonomia klasyczna legitymizowała walkę klas i zachodni imperializm. Potem ekonomia marksistowska legitymizowała nacjonalizację i kolektywizację w komunistycznej Rosji. Ostatnio ekonomia wolnorynkowa stworzyła świat nierównowagi i kryzysów finansowych. Za każdym razem ekonomiści twierdzili, że taka jest obiektywna konieczność, którą naukowo odkryli, więc jeżeli zrobimy, jak radzą, gospodarka zakwitnie i wszyscy będą szczęśliwi. Ale obietnice ekonomistów nigdy się nie sprawdziły.

Ostatnio gospodarka rosła. Pod wpływem rad neoliberalistów zwolniła. Od lat 80., kiedy ekonomia wolnorynkowa zaczęła dominować, gospodarka rozwija się wolniej niż w poprzednich 30 latach.

Wiedza ekonomiczna szkodzi?
Doktryny ekonomiczne szkodzą.

Bo?

Można po marksistowsku powiedzieć, że baza jest zawsze silniejsza od nadbudowy, materia pokonuje idee. Nadbudowa opisuje bazę i z tego czerpie wiedzę o mechanizmach, ale zanim ją opisze i zinterpretuje, baza wygląda już inaczej. Nieszczęście polega na tym, że nadbudowa ujęta w doktrynę broni się przed zmianami, a rzeczywistość zmienia się nieustannie. I nakładają się na to interesy. Doktryny mają swoich twórców, krzewicieli, nauczycieli, uczniów, instytucje żyjące z ich propagowania albo z tego, że są one wdrażane. Dokładnie tak było z neoliberalizmem. Chodziło o przełamanie niezdolności do wprowadzenia krajów rozwijających się na ścieżkę szybkiego wzrostu. W takim wąskim sensie neoliberalizm się początkowo sprawdził. Ludzie uwierzyli, że lepiej jest wspinać się po kapitalistycznej drabinie, niż ją przewracać. Gospodarka planowa też miała swój złoty

okres. Ale zmieniła bazę, a idei, które nią rządziły, nie potrafiła zmienić.

Musiało tak być?

Ludzie, którzy odkrywają jakieś mechanizmy, często sobie wyobrażają, że odkryli prawdy ostateczne i że historia już się skończyła. Marksisci tak sądzili i neoliberalowie podobnie. Wielu do dziś nie umie się z tą myślą rozstać. Wciąż powtarzają, że wszystko trzeba urynkwować i utowarowić, bo taka jest obiektywna ewolucja świata wynikająca ze zmiany technologicznej.

Jesteśmy skazani na falowanie od jednej bajki do drugiej?

Nie. I nie zawsze tak było. To trzeba pamiętać. Co nie znaczy, że możemy zawrócić do złotego wieku lat 50., 60., 70., gdy w Europie i Ameryce Północnej każdy miał swoją ścieżkę rozwoju, każdy po swojemu szukał kompromisów klasowych, każdy budował inne społeczeństwo i inny system podatkowy. Francja próbowała nawet miękkiego planowania. W USA między 1945 a 1955 r. podatek od najwyższych dochodów osobistych sięgał 92 proc. A rządził republikański prezydent Eisenhower. Światowa gospodarka rozwijała się wtedy dwa razy szybciej niż przez ostatnie 30 lat pod rządami neoliberalnego eksperymentu. W

większości krajów nierówności były dużo niższe. Bezrobocie wynosiło średnio 1,5–2 proc. USA, gdzie bezrobocie wynosiło 4–5 proc., były uważane za kraj wysokiego bezrobocia.

Dziś trudno w to uwierzyć.

Często trudno zrozumieć, dlaczego ludzie w jedne rzeczy wierzą, a w drugie nie potrafią. Teraz ludzie wierzą, że wzrost nierówności wynika z postępu technologicznego, chińskiej konkurencji itp. Jak wobec tego wyjaśnić, że w Szwajcarii przez ostatnie 30 lat nierówności spadły? To jest jedna z najbardziej otwartych i zaawansowanych gospodarek świata. Czyli nierówności dają się kontrolować. W kategoriach dochodów rynkowych Szwecja, Francja, Belgia mają dziś większe nierówności niż USA. Ale zmniejszają je za pomocą redystrybucji i wydatków socjalnych. To są polityczne decyzje sprawiające, że efektywne nierówności maleją.

Wielu ekonomistów powie, że na takie luksusy mogą sobie pozwolić kraje mające tzw. silne przewagi konkurencyjne. Inaczej w epoce globalizacji międzynarodowa konkurencja je zje.

Globalizacja ogranicza możliwości państw. Ale ideologia demonizuje te ograniczenia. Niemcy mają bardzo wysokie

podatki, także od zysków przedsiębiorstw, a w globalnej konkurencji radzą sobie wspaniale. Bo zbierając dużo pieniędzy z podatków, dobrze je inwestują. Dobrze kształcą pracowników, tworzą dobrą infrastrukturę, wspierają przemysł, eksport, organizacje biznesu. Nie podatki decydują o sukcesie gospodarki, ale produktywność.

Słabsze gospodarki muszą konkurować o inwestycje z Chinami, więc muszą mieć tańszą pracę i niższe podatki.

Płace w Europie są średnio 4–5 razy większe niż w Chinach. Wyobraża pan sobie konkurencję płacową na takim poziomie? A to jeszcze nie koniec. Jak pan się zrówna z Chinami, będzie pan musiał konkurować z Wietnamem, gdzie płace są trzy razy niższe niż w Chinach. A potem jest Etiopia, gdzie płace są na poziomie jednej czwartej wietnamskich. Ta droga żadnego europejskiego kraju nigdzie nie zaprowadzi. Trzeba konkurować produktywnością, czyli inwestycjami, kształceniem i szkoleniem, infrastrukturą, polityką przemysłową. Niemcy robią to bardzo sprytnie. Ale wiele krajowych elit wierzy w różne doktrynalne bajki i niszczy swoje gospodarki.

Niemcy są mistrzami współpracy.

Pan myśli, że zawsze tak było? Mogę panu pokazać dokumenty z epoki wiktoriańskiej, w których Brytyjczycy naśmiewają się z nieracjonalnych Niemców niezdolnych do współpracy i budowania nowoczesnej gospodarki. Potem Niemcy podobnie pisali o Szwajcarach. Uważali, że nie mają szans w nowoczesnej gospodarce. W tym samym czasie Amerykanie odwiedzający Japonię pisali o lenistwie Japończyków, którzy nie potrafili myśleć przyszłościowo i są niezdolni do budowania szerszych gospodarczych więzi. Kultury nie zmienia się z dnia na dzień, ale zdolność do współpracy można stopniowo budować.

Jak?

Praktykując. Odpowiednio budując gospodarkę, można zmieniać kulturę, a zmieniając kulturę, można budować gospodarkę. Społeczeństwa wychodzące z kultury rolniczej często robią wrażenie leniwych, kulturowo niezdolnych do regularnej pracy i kooperacji. To się wiąże ze zmianą roli czasu. W naturalnym rolnictwie czas biegnie inaczej niż w społeczeństwach zindustrializowanych. Nic się nie stanie, jeżeli zaczniesz pan orać pół godziny później. A jak robotnik spóźni się pięć minut do pracy, to może być duży problem. Kultura potrzebuje czasu, żeby tę zmianę przyswoić.

To się posuwa stopniowo.

Wiele czasu upłynie nim cała Europa będzie miała takie kompetencje kulturowe jak Niemcy czy Skandynawowie.

Ale też żaden europejski kraj nie zdoła konkurować płacowo z Chinami. Zwłaszcza że Chiny rozwijają się technologicznie. Chińskie marki są jeszcze skazane na konkurencję cenową, ale 20 lat temu koreański Samsung musiał sprzedawać telewizory trzy razy taniej niż japoński Sony, a teraz Sony jest tańszy niż Samsung. Za kolejne 20 lat chińskie marki mogą być najwyżej cenione na świecie. Na dłuższą metę niskimi płacami Europa tej konkurencji nie wygra. Opowieści o koniecznym obniżaniu płac upowszechniają ci, którzy płacąc mniej, jeszcze więcej zarobią.

Przypuśćmy, że jakiś rząd marzeń dochodzi w jakimś kraju do władzy i postanawia iść za pańskimi radami. Podwyższa podatki bogatym, podnosi płace, zwiększa pomoc socjalną. Co stanie się z gospodarką?

W krótkim czasie zwiększy się popyt wewnętrzny, więc wzrosną wpływy z podatków, a firmy więcej sprzedadzą, ale zanim wzrośnie wydajność, ich dochód z pojedynczego produktu czy usługi spadnie. Można to tak zaplanować, żeby efekt netto dla budżetu i gospodarki był z

grubsza neutralny przy rosnącej konsumpcji. Transfer od bogatych do biednych zwiększa popyt i nakręca koniunkturę, sprzyjając inwestycjom, bo biedni szybciej wydają. W dłuższym okresie efekt zależy od tego, czy gospodarka będzie potrafiła wykorzystać zwiększony popyt do zwiększenia wydajności pracy. Działanie propopytowe – także redystrybucja – muszą iść w parze z działaniami prowydajnościowymi, czyli z inwestycjami modernizacyjnymi. To się udawało w tak zwanym złotym wieku, czyli przez pierwsze dwie dekady po wojnie. Można tak zaplanować zmiany. Nie dla podatków na poziomie 90 proc. osobistego dochodu, ale dla 50–55 proc. – tak.

Niemcy tak zrobili w ostatnich latach i radzą sobie dobrze. Ich eksport rośnie mimo podwyżki płac. Ale polska gospodarka jest inna.

Niemcy żyją z zaawansowanego technologicznie eksportu. To z jednej strony sprawia, że wyższe płace bardziej obciążają Konkurencyjność przedsiębiorstw, ale z drugiej strony te przedsiębiorstwa są bardziej elastyczne, bo stale konkurują w różnorodnych i zmiennych warunkach wielu rynków. System niemiecki jest na to gotowy, bo pracownicy biorą udział w zarządzaniu. W systemie

szwedzkim rynkowe dostosowanie jest wspomagane tradycją centralnych negocjacji płacowych. Takie mechanizmy na co dzień wspierają konkurencyjność i ułatwiają dostosowanie się do poważniejszych zmian. Podobne rozwiązania muszą być częścią pakietu, jeżeli chce się trwale zwiększać płace i wydajność pracy. To musi być złożony proces. Trzeba jednocześnie iść kilkoma ścieżkami. Jak ktoś spróbuje pójść jedną, to polegnie.

Zna pan – poza Niemcami – kraj, któremu udaje się wychodzić z neoliberalnej pułapki?

Większość państw Ameryki Łacińskiej stopniowo z dobrym skutkiem robi to przynajmniej od dekady. Udało im się nawet nieco zmniejszyć różnice dochodowe, zwiększając tempo wzrostu i konkurencyjność. Przeważnie to jeszcze nie są jakieś wielkie sukcesy, ale kierunek jest dobry. To się udaje nie tylko w wielkim kraju, jakim jest Brazylia, ale też w mniejszych – jak Urugwaj czy Ekwador. A zachodnie gospodarki stosujące neoliberalną logikę deregulacji i ograniczania ingerencji państwa nie mogą wyjść ze stagnacji.

Wielcy ekonomiści, tacy jak Larry Summers czy Paul Krugman, piszą, że czeka nas

sekularna stagnacja, czyli utrzymujący się wiele dekad brak wzrostu gospodarczego. Dla wchodzących na rynek pracy pokoleń byłaby to zapowiedź życiowej katastrofy. Wierzy pan, że tak będzie?

To od nas zależy. Można więcej inwestować w badania, żeby zwiększyć wydajność, można wspierać popyt i inwestycje. Nie jesteśmy bezradni. Ale jeśli poprzestaniemy na deregulowaniu i drukowaniu pieniędzy, czekają nas kolejne zmarnowane dekady wstrząsów wywoływanych przez powstawanie i pękanie baniek spekulacyjnych. Europa ma fundamentalne problemy polityczne, ale nawet w USA, które mają tylko problemy gospodarcze, od wybuchu kryzysu wzrost PKB per capita wynosi średnio 0,4 proc. rocznie. To jest wynik ponad dwa razy gorszy niż w Japonii podczas tak zwanych „zmarnowanych dekad” po 1980 r., kiedy japoński PKB rósł średnio 1 proc. rocznie. Pod rządami neoliberalnej doktryny Stany Zjednoczone radzą sobie dużo gorzej niż kraje, które one same wskazują jako symbole gospodarczej porażki.

Ja mam wrażenie, że USA się odbiły.

Bo w debacie dominują ci, którzy mają się najlepiej. W USA rosną tylko kursy akcji, dochody jednego procenta najbogatszych

i ceny najbardziej luksusowych dóbr. Bo sztucznie drukowane pieniądze szukają jakiegokolwiek ujścia. Połowa krajów OECD nie odbudowała jeszcze PKB per capita z 2007 r. Bezrobocie na ogół maleje dzięki temu, że ludzie godzą się na desperacko niskie płace albo na tzw. samozatrudnienie, czyli faktycznie na bezrobocie przerywane okresami jakichś dorywczych zajęć. Wyborcy nie wiedzą, co się dzieje, bo parametry, które podają politycy i media, są zupełnie inne niż ich życie. Przeciętny człowiek słyszy, że jest coraz lepiej, a jemu jest coraz gorzej, więc myśli, że to z nim coś jest nie tak. Łatwo jest ulec propagandzie i się w tym wszystkim pogubić. Dlatego napisałem „Ekonomię – instrukcję obsługi”.

Gdyby pan mógł naprawić świat, od czego by pan zaczął?

Może od zmiany działania korporacji. Bo wzrost siły akcjonariuszy instytucjonalnych, takich jak banki i fundusze inwestycyjne, spowodował, że część zysku przeznaczana na inwestycje, która w latach 60. wynosiła 55–65 proc., w ostatnich 10 latach spadła 10-krotnie. Amerykańskie korporacje ponad 90 proc. zysku oddają akcjonariuszom, a inwestują tylko 6 proc.

To w dużym stopniu jest skutek prywatyzacji systemu

emerytalnego. Emeryci nie są zainteresowani przyszłością, więc fundusze emerytalne domagają się wysokich dywidend, a nie inwestycji. Dokładnie.

Co by pan z tym zrobił?

Uzależniłbym udział w dywidendzie od tego, jak długo posiada się akcje. Gdyby pełne prawo do dywidendy uzyskiwało się np. 10 lat po kupieniu akcji, akcjonariusze byłiby zainteresowani rozwojem, a nie tylko drenowaniem przedsiębiorstw z gotówki. Trzeba by to wzmocnić przez ograniczenie płac menedżerów. Bo oni też są zainteresowani drenowaniem firm, a nie ich rozwojem. Płacą coraz większe dywidendy, żeby akcjonariusze płacili im coraz większe pensje i premie. Nie jest dla nich ważne, jak firma będzie się miała za 5 czy 10 lat. Kiedy ją wydrenują, będą żyli z tego, co wydrenowali, albo pójdą do innej. To niszczy gospodarkę. Im bardziej ten proces jest ograniczony przez państwo, tym lepiej radzi sobie cała gospodarka. To widać w porównaniach międzynarodowych.

Nie trzeba niszczyć kapitalizmu, żeby uratować świat?

W gruncie rzeczy potrzebne są niewielkie korekty, które przywrócą racjonalność i rozwój, ograniczając niszczącą doraźną

chciwość. Kiedy neoliberalizm zaczął dominować, obiecywał, że dzięki zwiększeniu nierówności będziemy mieli szybki wzrost i wszyscy na tym skorzystają. A okazało się, że mamy trzy dekady spowolnionego wzrostu. Kiedy już to wiemy, jedynym uzasadnieniem takiego systemu jest ideologia wypychająca kieszenie jednemu czy paru

procentom najbogatszych kosztem całej reszty. Demokracja znosi to coraz gorzej. Zachód, który tej udającej ekonomiczną wiedzę ideologii uległ, traci swoją gospodarczą pozycję w świecie. Statystyka dobrze to pokazuje.

rozmawiał Jacek Żakowski



Ha-Joon Chang (ur. w 1963 r.) jest profesorem ekonomii na Uniwersytecie Cambridge i autorem popularizatorskich globalnych bestsellerów ekonomicznych. Magazyn „Prospect” uznał go za jednego z 20 najbardziej wpływowych myślicieli świata. Po polsku ukazały się jego książki: „23 rzeczy, których nie mówią ci o kapitalizmie” i „Ekonomia – instrukcja obsługi”. Jesienią ukaze się polskie wydanie jego pierwszego globalnego bestsellera „Żli samarytanie. Mit wolnego handlu i tajna historia kapitalizmu”. Był gościem Festiwalu im. Jacka Kuronia organizowanego przez „Krytykę Polityczną”.